

KRONIKA LITERACKA.

Legendy historyczne przez Bronisławę Kamińską. Wydanie drugie przejrzone. Poznań. Nakład i własność J. K. Żupańskiego. 1863. Tom jeden. Str. 321.

Legendy p. Bronisławy Kamińskiej, pierwszy raz ogłoszone w r. 1852, po latach 11 doczekały się drugiego wydania. W każdym razie drugie wydanie książki jest dowodem jej wartości i zdolności autora. O znakomitej zdolności p. B. Kamińskiej zaraz za ukazaniem się jej utworów nikt wątpliwości mieć nie mógł. Twórczość utrzymywana w obrębach rzeczywistości, myśli nowe, trafne, uczucia serdeczne, moralność anielska, dobro kraju i ludzkość, jedyny przedmiot pracy, styl nadzwyczaj lekki malowniczy i miły, oto są główne zalety autorki naszej.

Legendy historyczne napisane są dla młodych dziewcząt, do których autorka tak się odzywa. „To, co w myśli i uczuciu miałam najlepszego, to com z nauki dziejów i serca wyniosła, tóm dla was dzisiaj w legendy uplotła. Chciałam aby te powieści były zwierciadłem, w którémby się nasze dusze odbić mogły; chciałam aby były podporą przy waszej pierwszej nad sobą rozwadze; chciałam aby wam były dobrym przyjacielem, od którego pocziwój rady macie prawo żądać”. Cel zamierzony w znacznej części osiągnęła autorka. W serca młodych dziewcząt, dla których świat jest zupełną tajemnicą, legendy z niezwykłą siłą rzucają niebieskie ziarna wiary, miłości, nadziei, przedstawiają wypadki przekonujące o potędze religii, przykłady dobroci nadzwyczajnej, miłosierdzia, poświęcenia się dla kraju i bliźnich, wytrwałości nagrodzonej i ukaranej zbrodni. Tytuł książki może nie jest stosowny, nie znajdzie tam czytelnik legend w właściwym znaczeniu tego

wyrazu. Nie są to legendy historycznym kronikarskim stylem pisane, nie są legendy kościelne mową biblijną opowiedziane, ani legendy ludowe właściwym uroczym językiem ludu odadane: są to tylko osnowy z legend wszelkiego rodzaju, przetworzone w obrazki nadobne i osypane nauką moralną, która świeżością, wyższym poglądem musi wrażenie robić na umysłach młodych i serca do dobrego przeciągać. Treścią legendy jest najczęściej cudowność, dla tego prawie we wszystkich legendach p. Kamińskiego zjawiają się cuda po cudach. Zdawałoby się, że ta ciągła cudowność monotonością swoją szkodzi książce, tymczasem tak nie jest. Ta widoma opieka Opatrzności, która przy nadzwyczajnych wypadkach zjawia się z pomocą uciśnionym, musi zająć młody umysł, bo mu wskazuje potęgę Najwyższą, która jest najdzielniejszym kierownikiem życia. Jakież wrażenie z cudu, który przedstawia legenda *Pięciu męczenników!* Poganie zbójcy, w nadziei zdobycia złota zabijają w pustyni pięciu kapłanów i apostołów opowiadających ludowi słowo boże. Bolesław Chrobry na widok takiego morderstwa, uniesiony gniewem chciałby zbrodniarzom największe zadać męki, rozkazał więc do grobu wystawionego zakonnikom, przykuć złoczyńców okutych w łańcuchy, aby w takiej męczarni życie skończyli. Lecz zaledwie to dokonano, o dziwo, pękają łańcuchy, spadają ku ziemi a zbrodniarze stają wolno. Bóg im przebaczył a monarcha wielki poznał boskie miłosierdzie i ukorzył się przed nim, bo się przekonał, że takie miłosierdzie zbrodniarzy nawet na drogę cnoty poprowadzić musi. Legenda *Zosia* jest prześliznym obrazkiem anioła dobroci, jaki tu na ziemi zjawić się może. Córka Szymona Mościckiego urodziła się już jako kwiatek dobroci. Tak ją autorka legend opisuje:

„Był to cud piękności, oczęta miała jasne, któremi wpatrywała się w człowieka z taką dobrocią i miłością, żeby niemi przebiła najtwardsze piersi. Twarzyczka okrągła z lekkim rumieńcem zdawała się zdradzać jakiś wyraz rzewnego smutku, tęsknoty za niebem, za aniołkami, od których odeszła. Bo kiedy usnęła, snąc po głowie chodziły marzenia z tamtego świata: na ustach przelatywał uśmiech, jakby pozdrowienie tego co się kocha, i rączką drobnouchną wyciągała w górę, jakby się chciała witać, połączyć i ulecieć z tym rojem niebieskich mieszkańców, którzy do niej we śnie po złotych promyczkach słońca się spuszczaali. Było to kochanie całego domu, rosła prędko i chodziła. A w około niej szerzyła się jakby wonna atmosfera spokoju i miłości, bo gdziekolwiek weszła, wszyscy patrzyli na tę główkę, którą płowe

włoski wieńczyły złotą koroną, na tę istotę wiotką, przezroczy-
stą, że ludzie mówili, że kiedy łyzy spadają z oczu Matki Boskiej,
to takie dzieci się rodzą". Tak utworzona istota od małego
uczula gwałtowną miłość dla Boga i bliźnich, których kochała jak
własnych braci. łyzy cudzej znieść nie mogła, nie było granic w po-
święceniu tam, gdzie tego cierpienie wymagało. Biegła wszędzie
z pomocą, z pociechą, bez względu na wszelką przyzwoitość dziec-
ka szlacheckiego i bez względu na niebezpieczeństwo ofiary. Bóg
i wiara święta, to dla niej jedyne życia przedmioty. Na granicy
wioski wykryła w zaroślach zrujnowaną kaplicę. Wśród zwaliska
do wiszącego na ścianie krucyfiksowi woła z płaczem: „O mój Boże!
Ciebie tutaj ludzie zapomnieli, sam jesteś i ani Cię modlitwa ludz-
ka nie rozweseli, ani nie usłyszysz westchnienia pobożnego. Zapom-
nieli o Tobie ludzie, zostawili Cię w pośród walących się ścian,
a Ty za nich cierpisz na krzyżu." Rodzice Zosi na jej prośby
wyrestaurowali kaplicę. To ustronie było dla niej najmiłsze.
Lecz autorka utworzywszy w małej dziecinie taki ideał dobroci,
czuła że nie może mieć dość siły, aby przedstawić dalsze życie Zosi
w wyższym a nawet w równym stopniu. Kończy więc autorka
tę, że małej dziecinie Chrystus Pan powiedział iż umrze jutro,
a ta ustrojona na śmierć kładzie się w trumienkę i umiera w wie-
ku dziecinnym, aby to co było niebieskiem wróciło do nieba.

Równiej prawie wartości są dwie legendy: Ojciec Luboni i Pa-
tron kmiotków. W pierwszym obrazku Maciej stary sołtys, ofiara
prześądu a zarazem ofiara najszlachetniejszych uczuć, w przekonani-
u jak wróżba głosiła, że morowa zaraza ustanie, jeśli dwie osoby
śmierć dobrowolnie poniosą, chcąc od grasującej zarazy uwolnić oko-
licę, ukochaną wnuczkę swoją żywcem w grobie zakopał i sobie no-
żem życie wydarł. W drugim obrazku występuje Korsak bogaty
dziedzic włości na Litwie, który pełen dobroci i miłości dla bliźnich,
pomimo uczynków szlachetnych, sam z sobą walczy, bo nie jest pe-
wny, czyby się nie zmienił za zmianą osób, które go otaczają i ze
stratą majątku jaki posiada. Niedługo czekał na sposobność
przekonania się o swojej nieugiętej woli. Tatarzy napadają oko-
licę, on ich odpiera; lecz raz przy napadzie nocnym zrywając się ze
snu, zamiast swój odzież, porywa odzież wieśniaczą, w tej wal-
czył, w tej otrzymawszy kilka ran w twarz, padł i leżał na pobo-
jowisku niepoznany; ocucony spojrzał na siebie: widzi siermięgę
wieśniaczą, spostrzega że go unikają, że się nim wcale nie zajmu-
ją; przyjmuje to za wolę Bożą i za podaną pomoc do rozstrzygnię-
cia wątpliwości, które go męczyły i za wskazówkę dalszego życia.

Ukrywa więc swoje nazwisko i pochodzenie, wyrzeka się dobrowolnie majątku, a wyleczony z ran i niepoznany przez nikogo, w własnych swoich dobrach służy u włościan i tam pracując ciężko i znosząc wszelkiego rodzaju cierpienia i poniżenie, daje z siebie przykład, jak cnota i praca bez względu na stan poniżony rolnika wznosi człowieka nad wszystkich do świętości prawie i zapewnia mu szczęście niewysłowione, bo rokosz duszy. Przy zgonie Korsak odkrył spowiednikowi tajemnicę, którą gmin poznał i zadziwiony cnotami cierpliwością i poświęceniem Korsaka, uznał go w swych podaniach za patrona kmiotków.

Dla młodego pokolenia piękne są wspomnienia historyczne w legendach. *Matka Boska Częstochowska*, gdzie walka ks. Kordeckiego za wiarę i kraj; *Piast*, w której Opatrzność wynagradza gościnne przyjęcie; *Piotr Dunin*, któremu jako niewinnemu i dla ogółu cierpiącemu wydarte oczy i mowę niebo przywraca; *Napady Tatarów* przedstawiają świetne postacie św. Jadwigi, św. Czesława i księcia Henryka, do tej legendy dołączyć należy drugą tegoż rodzaju: *Święta Jadwiga i klasztor trzebnicki*. Legenda: *Pierścien Kunegundy* przypomina wykrycie złup solnych w Polsce. Wszystko to znane są dobrze zdarzenia a przecież dla młodych dziewcząt, które po raz pierwszy zbliżają się do nich, opowieści takie stylem serdecznym i z stosowną nauką przedstawione, przyjemność i użytek moralny zapewniają. Z legend kościelnych piękną jest legenda *Święty Krzysztof*, z legend ludowych legenda górnicza *Złoty kilof* najmiłszy dla serc obrazek, a *Jaskinia Zbójcy* chociaż przerobiona z niemieckiej legendy *Der schwarze Fritz*, jest bardzo skutecznym lekarstwem na słabość serca dziewczic, które bez rozwagi i rady rodziców przywiązują się do pierwszego lepszego przedmiotu. Zamieszła się pomiędzy innemi legenda sądowa: *Krucyfik w Trybunale Lubelskim*, scena z dawnych wieków. Przekupieni deputaci w trybunale wydają wyrok najniesprawiedliwszy i bezprawny, którym nakazują wieś, cały majątek biednej wdowy i dzieci, zabrać i oddać bogatemu sąsiadowi, a po takim wyroku natychmiast wszyscy jadą do bogacza na pobulankę jego kosztem. Lecz zaraz po ich oddaleniu się, kiedy jeszcze pisarz sądowy wyjść nie zdołał, przybywa komplet czartów po niemiecku przebranych, którzy jako sędziowie zatrzymują pisarza, zasiadają na audyencji, nakazują powtórnie sprawę publicznie wprowadzić: czart woźny przywołuje sprawę. Stają jako mecenas ci czarci, którzy każdą ze stron najgorliwiej i z wielkim podziwieniem publiczności bronią. Pomimo matactw obrońcy bogacza, prawda nie znikła z przed oczu sprawie-

dliwości. Panowie czarci wydają wyrok sprawiedliwy, unieważniają pierwszy wyrok, przysądzają wdowie i dzieciom majątek a skazują bogacza na wynagrodzenie szkód i kosztów. Pisarz wyrok taki napisać i ogłosić musiał. Wówczas Chrystus Pan na krzyżu, słysząc oba te wyroki, z boleści głowę swą przeniósł na inne ramię i odwrócił od sądu. Obrazek to satyryczny, utworzony z przysłowia szlacheckiego z dawnych wieków, które pozostało jako dowód obrzydzenia niesprawiedliwości.

Wskazaliśmy zalety książki p. Kamińskiej, a drobne usterki pomijamy, bo te każdy z czytelników pozna, jak na przykład twierdzenie autorki w Napadzie Tatarów „że ród Tatarów wyginął ze szczętem”; uważamy jednak, że chociaż tytuł legend zapewnia, że to drugie wydanie jest przejrane, to i to zapewnienie zdaje się być mylnem. W przejrzeniu nie tylko wszystkie drobne usterki byłyby sprostowane, lecz i z większych błędów wydanie to zostałoby oczyszczone; większymi błędami zdaje nam się to, że autorka nieraz epizodami rozwlekłymi zmniejsza wrażenie, jakie chce nadać swym obrazkom. Czasem wyrażenie nasuwa myśli rażące czystości dziewiczą, jak w legendzie *Dojutrek*, gdzie żona oświadcza mężowi, że jest przy nadziei; w legendzie *Kara niebios* kapelan opowiada jak ojciec Hansa, zaniechał żony a matki Hansa, pokryjono zawiązywał miłostki pokątne, których owocem była dziewczynka później zakonnica, którą Hans porwał i poślubił. Wyrażenia takie można zastąpić innym zwrotem a w każdym razie opuszczenie całkowitej tej legendy niemieckiej nicby nie zaszkodziło całemu zbiorowi; niekiedy autorka zdaje się jakby odstępowała od własnych raz już przyjętych zasad, a ztąd pewna nasuwa się sprzeczność, jak na przykład w legendzie *Dojutrek*, gdzie chęć rodowości jest potępioną i ukaraną, a w legendzie *Książ Ostrogski*, gdzie rodowość antenatów tworzy cud i młodego kniazia z rozpusty i występku na drogę cnoty sprowadza; w legendzie *Praca i modlitwa* p. Kamińska chce wsunąć w serca młodego pokolenia tę najważniejszą prawdę, że modlitwa sama bez dobrych uczynków, bez pracy nie wystarcza do doskonałości moralnej. Tworzy sobie i pragnie zbić to własne zdanie jako mylne „że rękoma nigdy tyle dobrego nikt nie zrobi, ile go zrobi słowem i modlitwą”, nieogłędnie wmieszane tu jest słowo. Bo praca słowem jest najwyższą pracą umysłową i fizyczną i staje się wyższym czynem od wszelkiego dzieła pracą rąk ludzkich dokonanego, a najlepszym na to dowodem są własne prace autorki.

Kobiety z sercem, obdarzone wyższym talentem, same tylko są zdolne tworzyć najużyteczniejsze dziełka dla wychowania kobiet. Bo one znają najlepiej tajemnice uczuć i myśli kobiecych, znają wszystkie słabości tej pięknej połowy stworzenia i potrafią na każdy wypadek podać radę i pomoc. Pomiędzy znaczną liczbą znakomitych naszych literatek góruje p. Kamińska trafnym na świat poglądem, zasadami wyższymi i nadzwyczajnym urokiem stylu prostego, jasnego, pełnego słodyczy i pieszczot. Chcielibyśmy wszystkich użyć bodźców, aby p. Kamińską zniewolić do tej tak ważnej pracy dla naszego kraju. Ta jednak jedna myśl powinna do tego celu wystarczyć dla niej, że zapewnienie kobietom naszym moralnego ukształcenia, silnego charakteru i uczuć narodowych stanowi szczęście i błogosławieństwo dla przyszłych naszych pokoleń.

A. J. S.

Araukania i jej mieszkańcy. Wspomnienia z podróży po południowych prowincjach republiki chilijskiej. Przez Ignacego Domejkę, członka uniwersytetu chilijskiego, profesora kolegium w Coquimbo. Tłumaczone z hiszpańskiego przez Jana Zamostowskiego. Wilno nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1860 r. W 8ce. Str. 227.

Trzeci rok już ubiega od wydania tej pełnej treści i zajęcia książki, a żadne z pism naszych nie podało obszerniejszego o niej sprawozdania, zbywszy ją tylko ulotnym wspomnieniem. Wydawca, z niezwykłą starannością zabrał się do jej ogłoszenia. Tłumacz poprzedził wstępem pracę Domejki, w którym (str. 60) podaje wiadomości o przeszłości i dziejach Araukanii, doprowadzając do chwili, w której autor rozpoczyna swój opis: w końcu Michał Baliński skreślił nam życiorys Domejki.

Nie będziemy zajmować się opisaniem bogactw ziemi cudownych, nadmienimy tylko, że r. 1535 można uważać za datę pewną odkrycia Chili, a niedługo Hiszpanie poznali się ze strasznym dla siebie i najbitniejszemu plemieniu Araukanami. Valdivia dzielny wódz Hiszpanów, spotkawszy ich pierwszy raz na polu bitwy, zwątpił o zwycięztwie. Straszne ich oblicza, długie lance i stałość z jaką nieustraszenie wytrzymali pierwszy strzał muszkieterów i atak nieznaną sobie konnicy, nie małe zrobiły na Hiszpa-

nach wrażenie. Valdivia po kilkakroć razy był w wielkiem niebezpieczeństwie, zwłaszcza gdy padł pod nim rumak ugodzony w łeb maczugą. Rzeź straszna trwała kilka godzin, gdy wódz Araukanów, *Aillivilu* poległ od kuli karabinowej, cofnęli się w najlepszym porządku, zostawiając pole bitwy Hiszpanom, którzy ich ścigać nie śmieli.

Przerywamy następne dzieje, aż do pojawienia się pomiędzy Araukanami jeniálnego wodza *Kaupolikana*.

Wynałazł on nowy sposób wojowania, przeciw dobrze wyćwiczonemu i uzbrojonemu żołnierzowi hiszpańskiemu, i nim odnosił zwycięstwa. Tworzył zbite kolumny z tysiąca ludzi, które szły do ataku jedna za drugą, i każda z nich pobita lub znużona, rozsypując się, ustępowała miejsca następnej, a sama formowała się z tyłu, zajmując za innemi swą rolę, tak, że mała liczba Hiszpanów, mając zawsze do czynienia ze świeżym nieprzyjacielem, pod tym nieprzerwanym bohatérskim naciskiem, w końcu upadać musiała.

Kaupolikan uderza na uzbrojoną działami fortecę *Arauco*, i zdobywa, po niej drugą *Tucapelu*. Zrujnowawszy je, obozował wśród dymiących palisad i budowli, oczekując na Valdivię, który niebawem nadciągnął na czele dwustu Hiszpanów i 5000 sprzymierzonych Indyan.

Długo oba wojska patrzyły na siebie, nie śmiejąc zetrzeć się z sobą, gdy dowódzca lewego skrzydła Araukanów *Maviantu*, uderzył na prawe hiszpańskie, którego wódz *Babodilla* pada zabity. Kaupolikon uderza na lewe i bitwa stała się powszechną. Pod strzałami kartaczowemi dział padają szeregi Indyan: rozsypują się i formują na nowo. Po strasznej rzezi już myślały ustępować z pola walki w zwyczajnym sobie porządku, gdy szesnastoletni Araukanin *Lautaro*, którego Valdivia wychował i trzymał przy sobie jako pazia, słysząc hasło wojenne ojczyste, widząc walczących braci, porywa lancę i przybiega do swoich, zapewniając ich, że Hiszpanie znużeni i prawie wszyscy ranni, nie są w stanie już walczyć dłużej.

— Za mną, bracia! — krzyknął, — za mną! zwycięstwo wyciąga do nas ręce!

Ożywieni zapąłem, głosem i pewnością młodzieńca, wracają kolumny Araukanów do boju i straszną klęskę zadają Hiszpanom. Lautaro wcześniej przed końcem bitwy kazał zająć wszystkie drogi i przesmyki, aby niedobitkom odciąć wszelką możliwość odwrotu. Z całych zastępów, które Valdivia wywiódł w pole 5,000

Indyan i 200 Hiszpanów: dwóch tylko uciekło Indyan; Hiszpanie wszyscy wymordowani zostali; sam tylko Valdivia pragnący się wypowiedać przed śmiercią, z kapłanem swoim dostał się do niewoli.

Lautaro poruszony niedolą dawnego swego pana, chciał mu życie ocalić. Już przychodziło do umowy, mocą której Valdivia z całym wojskiem zobowiązywał się wrócić do Europy, gdy jeden ze starych kacyków porwawszy maczugę, rozbił mu na miazgę głowę, wołając:-

— Co za szaleństwo puszczać takiego wroga, który wydobyszy się z rąk naszych, szydziłby z przysięg swoich, a zarazem z naszej głupoty i łatwowierności.

Ciało jego i pojmanego z nim mnicha w kawałki rozszarpaném zostało. Tak zginął Don Pedro de Valdivia 1553 r., towarzysz Pizara, jeden z najwaleczniejszych i najgieniańszych zdobywców nowego świata.

Araukunie z kości Valdivii porobili piszczałki, a ucztę zwyciężką zdobiły piramidy z uciętych głów hiszpańskich. Kaupolikan przybrany w zielone aksamitne szaty, haftowane złotem zdarte z Valdivii trupa, Lautarę pomimo tak młodocianego wieku, mianował swoim zastępcą i oddał mu dowództwo nad osobnym oddziałem.

Po zgonie Valdivii objął naczelne rządy kolonii Villagran, który zebrawszy ogromne siły sprzymierzonych i co mógł Hiszpanów z siedmiu działami ruszył naprzód. W ważkim przesmyku spotkał oddział Araukanów: po trzygodzinnej krwawej walce odparł go do obozu Lautary. Ten przywoławszy jednego z kacyków *Lencotona*, rozkazał mu zabrać działa hiszpańskie. *Lencoton* uderza i pomimo morderczego ognia wszystkie siedm armat zdobywa. Lautary odnosi stanowcze zwycięstwo: 3,000 sprzymierzonych z Hiszpanami Indyan kładzie trupem na pobojowisku. Villagran zwalony z konia, ledwie uszedł niewoli. Otrzymawszy posiłki z Lima, uderza niespodzianie na obóz Lautary, który wychylając się za palisady dla rozpoznania nieprzyjaciela, strzałą na wskroś przeszyty poległ. Towarzysze jego nie przyjmując ofiarowanego sobie życia, przyparci we własnym obozie, położywszy trupem wielu nieprzyjaciół, wyginęli do ostatniego. Tak zginął w kwiecie wieku bohater Araukanii Lautary, którego pisarze hiszpańscy Annibalem chilijskim nazywają.

W r. 1557 Mendoza, który objął rządy chilijskie, sprowadziwszy 2,000 żołnierzy hiszpańskich pieszych i jazdy, ruszył

na ziemię Araukanów. Ale żył dzielny Kaupolikan; ten ufał mężstwu i dzielności swoich i broni, którą dzielnie władać umieli. To też kiedy żołnierz hiszpański uciekłszy od swoich, radził Araukanom, aby zdobywszy na placu boju tyle broni palnej po Hiszpanach, użyli jęj, a on nauczy użycia muszkietów i robienia prochu; przeszli go bezzwłocznie strzałami, oskarżając, że chce ich porobić tchórzami i odebrać im ufność we własne ich dłonie, któremi dotąd bronili ojczyzny.

Kaupolikan przyjął bitwę, chociaż z tak przeważnemi siłami Hiszpanów. Wydał rozkaz aby unikając o ile można strzałów armatnich, co prędzej przyjść na walkę ręczną. Jakoż w pierwszym natarciu, Araukanie na swych lancach wytrzymawszy atak kawalerji, zmieszali i złamali szyk hiszpański. Taktyka europejska odniosła zwycięztwo jedynie użytą w miejscu i czasie stosownym rezerwą; Kaupolikan jednakże zdołał się cofnąć w porządku.

Dzielne to plemię nagle ciosy wielkie nieszczęść dotknęły: z zaniedbania rolnictwa powstał głód, a Hiszpanie sprowadzili im ospę. Wymierali tysiącami wśród niedostępnych lasów.

Mendoza schwytanemu kacykowi Galvarino, kazał uciąć obie ręce i puścić do domu na postrach Araukanom. Widok tego kaleki, który przebiegał ojczyznę swoją, jako wymowne świadectwo okrucieństwa Hiszpanów, zapalił wszystkich, nawet kobiety nieubłaganą zemstą. Rzucono się na wrogów z dziką zaciętością, ale bez porządku i rozwagi, co było przyczyną strasznych klęsk dla Araukanów.

W nowo zbudowanej twierdzy *Canète*, postanowił dowódzcą Don Alonza Reinoso, który pałał niepokątaną zemstą przeciw Kaupolikanowi, za doznane dawniej klęski: wódz ten araukański napadłszy i zniszczywszy nadsyłane tej twierdzy posiłki, obległ ją z wielkimi siłami. Nie mogąc zdobyć z przyczyny licznej artylleryi, odstąpił na chwilę, postawszy kacyka *Pran*, który udając dezertera wpuszczony został do fortecy.

Pran spostrzegł, że Hiszpanie najczujniejsi w nocy, mieli zwyczaj spoczywać w południe, umyślił tedy urządzić atak na miasto o tej porze. Ale nieroztropnie zaufał ochrzczoneму Indianinowi Andresillo, który go zdradził. Otworzył wprawdzie bramy Araukanom, ale co weszło, przez Hiszpanów wymordowane zostało; stojący pod bramami, tegoż losu doznali od morderczego ognia z armat kartaczami. Wypadła kawalerja rzeź strasz-

ną zadała. Kaupolikan z dziesięciu towarzyszami nieodstępującymi go nigdy, uszedł w pobliżkie bagna: towarzyszyła mu jak zwykle żona, z dziećciem u piersi. Reinoso dowiedziawszy się o miejscu schronienia jego, kazał go otoczyć i pojmał po zaciętej obronie; wtedy żona Kaupolikana, rzucając mu w oczy ssącą dziecinę od swych piersi, zawołała: „Masz tchórzul nie umiałeś umrzeć, niczego nie chcę, coby mi po tobie miało zostać i ciebie przypominało”.

Mściwy do niktzemności Reinoso skazał jeńca na wbicie na pal.

— Nie będziesz miał generale wielkiego owocu z mojej śmierci— rzekł Kaupolikan—większą tylko zemstą zapalisz mój naród, który bynajmniej nie straci odwagi, losem nieszczęśliwego wodza swojego: znajdzie on tysiące lepszych odemnie Kaupolikánów. Poślij mnie do Hiszpanii, niech ja zobaczę twój króla i niech go się spytam, czy onby inaczej postępował na mojem miejscu, gdyby kraj mu powierzony, zagrożonym został w niepodległości.

Przekonany, że wyroku swego zacięty Hiszpan nie zmieni, zapragnął umrzeć chrześcianinem i odebrawszy potrzebną naukę od kapelana i upragniony sakrament, z odwagą wszedł na rusztowanie; lecz widząc kąt Murzyna, zbliżającego się do niego, dawna araukańska obudziła się w nim duma. Kopnąwszy go nogą, rzucił na ziemię wołając:

— Nie masz pomiędzy wami człowieka i nie macieź miecza, aby mi odebrać życie: postępowanie takie nie jest sprawiedliwością ale podłą zemstą.

Lecz uspokojony przez kapłana, z rezygnacją poddał się okrutnej śmierci, której sami Hiszpanie nie mogli przebaczyć Reinosie.

Tak skończył jeden z największych bohaterów pomiędzy Indyanami, który umiał zwycięzko gromić, straszne dla innych zastępy hiszpańskie.

Syn Kaupolikana został ogłoszonym najwyższym *Toki*, sprzymierzonych Indyan: płacił on krwawemi kłeskami śmierć ojca: lecz w końcu pobity, sam sobie odebrał życie, ażeby niedostać się w ręce Hiszpanów.

Nie będziem dalszych losów Araukanów kreślili, ale musimy wspomnieć, że pomiędzy Hiszpanami znalazł się znakomity poeta, który uczcił wielkim poematem olbrzymią postać Kaupolikana. Tym poetą jest Don Alonzo d'Ercilla'y Zunniga (ur. 1533 r.

syn znakomitego szlachcica, paż królewicza, który później panował jako Filip II).

Przy Mendozie walczył w siedmiu walnych bitwach. Za powrotem do Europy dał poznać swój wzniosły utwór złożony z XXXVII pieśni oktavami, jak *Orland* albo *Jerozolima wyzwolona Tassa*. Współcześni uważali go za hiszpańską iliadę.

Cerwantes, *Araukanę* Ercilli, bo taki dał tytuł autor swemu poematowi, nachwalić się nie może, a Wolter uznał ją za jedną z najklassycyzniejszych epopei.

Ercilla był największym wielbicielem Araukanów, główną też wartość i interes niesłychanie zajmujący stanowi sam przedmiot i pełne ognia uwielbienie i miłość poety dla tego dzikiego ludu. Po trudach dziennych w obozach, układał on swój poemat nocami, na kawałeczkach zbieranych papierów, a niekiedy na skórze zabitego barana, na cholewach lub rękawicach. O wbiciu na pał Kaupolikana ze zgrozą wspomina i klnie się, że gdyby był wówczas w Canéte, ta egzekucja nigdy nie byłaby przyszła do skutku.

Tłumacz, w swym ustępie wspomina o dwóch jeszcze poematach hiszpańskich poświęconych Araukanii i o znakomitym dramacie Lope de Vegi, p. n. *Arauco domado*. „Trudno sobie wyobrazić (mówi) wspanialszą fantazyę, czarowniejsze obrazy, liryczniejszy polot, doskonalsze przeprowadzenie scen i charakterów, jak te, które Lope w swym dramacie rozwinął, a który do najwspanialszych utworów tego poety należy. Wprowadził on Ercillę bijącego w bęben i wiodącego Hiszpanów do boju.”

Kreśli następnie dalsze losy Araukanii i doprowadza swój przegląd historyczny, do dzisiejszej epoki pozostawiając ziomkowi skreślenie stanu teraźniejszego, tego bitnego narodu, który wiekowemi walkami, umiał dotąd z taką stałością i heroizmem utrzymać niepodległość swoją.

Teraz (od str. 61) zaczyna się właściwy opis Araukanii przez Domejkę. Pracę swoją podzielił na trzy części: w *pierwszej* opisuje położenie fizyczne i naturę ich kraju; w *drugiej* stan moralny w jakim się dziś znajdują Araukanie, ich zwyczaje i obyczaje; w *trzeciej*: przyczyny jakie stawiają przeszkody w cywilizacji Indian araukańskich i środki najwłaściwsze do osiągnięcia tego celu.

Domejko zna dokładnie poemat Ercilli, to też w opisie Araukanii częste z jego poematu przywodzi ustępy.

Araukanie (pisze) są i dziś takimi, jak ich przed trzema wieki opisuje poeta:

„Silni, choć bez brody,
Kształtni są ciałem i wysocy wzrostem;
Szerokie karki, piersi podniesione,
Potężne członki, pełne nerwów ciało,
Zwinni i szybcy. Są to Achillesy
Duchem, odwagą, siłą i zuchwalstwem:
W pracy niezłomni, znoszą ze stałością
Śmiertelne zimna i głód i upały.

Cera ich ciemna ale mniej czerwona i jaśniejsza niż innych Indian amerykańskich; twarz cokolwiek pociągła, oko duże lub zwyczajnej wielkości, żywe, wyraziste, brwi wąskie i w kształtny łuk zagięte, oblicze zbliżające się więc do rasy kaukazkiej niż do mongolskiej. Nos zwyczajnie mniej szeroki, wydatniejszy niż u dzikich na północy, niekiedy nawet orli; usta kształtne, chociaż spodnia warga cokolwiek wystaje: włos czarny, ostry i gruby, ale nigdy kędzierzawy. Charakter oblicza wyniosły, twardy i nadzwyczajny, ale przytem ma wiele pokoju i powagi.

Nie mają żadnych obrządków religijnych, ani kapłanów, ani świątyń, ani bałwanów, ani ceremonij religijnych: mimo to wierzą w Boga, Stwórcę nieba i ziemi, i w nieśmiertelność duszy. Obok tego pełni są przesądów. Nieustraszony Araukanin, który w bitwach z niesłychaną odwagą stawia czoło śmierci, drży na widok puszczyka albo sowy. Chrześcijaństwo nie potrafiło w tę krainę przeniknąć, pomimo usilnych prac gorliwych misjonarzy. Zostały pomiędzy Araukanami tylko imiona chrzestne, między tymi co w dzieciennych latach ochrzczeni byli; a wszyscy mają szczególną cześć dla krzyża Chrystusowego. korzą się przed nim, chociaż znaczenia jego nie pojmują. Na cmentarzach, na grobach szczególnież swoich kacyków, stawiają zawsze krzyże. Na miejscach umów i zawieranych traktatów, sami się domagają, aby na pamiątkę tego co zaszło, krzyż postawiono, i póki go widzą, z niezłomną wiernością i uszanowaniem, wszystkich dotrzymują obietnic.

Posłuchajmy jak opisuje Domejko Araukanów dzisiejszych: „W pięknej dolinie przy ujściu rzeki Imperial, w okolicy oddalonej od wszelkich stosunków ze światem chrześcijańskim, oczekiwało na mnie piętnastu kacyków, z kilkuset konnej młodzieży, ażeby mnie godnie przyjąć, myśląc, że mi się ta cześć należy, ponieważ znajdowałem się w towarzystwie kapitana Indian,

i jednego żołnierza, gdyż szybko rozeszła się wieść, że ze stolicy przybywa podróżny, w chęci zwiedzenia araukańskiej ziemi. W środku téj doliny stoją dwa starożytne krzyże, nachylone już ku sobie, zieleniejące się mchem wieków, zbutwiałe i spróchniałe, i z leżącym już na ziemi drzewem, które stanowiło ich ramiona. Cudna łąka, zarosła bujnym zielskiem i kwiatami, rozciąga się aż do zapienionego bałwanami morza piasku, gdy tymczasem szeroki widnokrąg od północy i wschodu oznaczony jest sosnowemi wzgórzami, zakrywającemi czarne szczyty Kordylierów.

„U stóp tych krzyżów stali Araukanie rzędem jak do boju i z grzecznością i uszanowaniem właściwem ludom ucywilizowanym, wezwali mnie na to miejsce, przez kilku wysłanych z pomiędzy siebie. Długie były wojenne ewolucye i oznaki uprzejmości na cześć nowego gościa. Stanęli potem w szerokie koło otaczające krzyże, i stary kacyk, który swą postawą atletyczną, potężnym głosem i obliczem pełnem szlachetności, przywiódł mi na myśl tych mówców sławnej rady zebranej przez Kaupolikana, z przyczyny odniesionego zwycięstwa pod Mariguenu, odezwał się do mnie w te słowa:

— „Oto jest miejsce, na którym przed wielą laty zawarliśmy pokój z Hiszpanami: świadkami tego są te krzyże, które widzisz, i któreśmy po dziś dzień szanowali; pragniemy pokoju i zachowywać go będziemy święcie, jak go dochowywali ojcowie nasi”.

W inném miejscu, w pośród Indyan najburzliwszych, koło fortecy *Tukapel*, istniał od dwóch wieków skromny klasztor misjonarzy. W czasie wojny o niepodległość, został spalony, a straszne trzęsienie ziemi r. 1835 zniszczyło go ze szczerem. Przeszło 20 lat stały samotne jego ruiny. Kilka lat temu, grono Indyan udało się do naczelnika prowincyi z prośbą o odbudowanie klasztoru i przywrócenie starodawnéj missyi. Rząd wyznaczył kapłana, z poleceniem spełnienia tych życzeń. Ale Araukanie położyli warunek, żeby obcych rzemieślników nie sprowadzał, że sami pomogą do budowy. Przeszło 800 zebrało się Indyan, postawili krzyż przyjmując *padre* i missyę.

— Ależ wy nie umiecie pracować, aniście nigdy nie budowali domu jaki ja zamierzam postawić—rzekł im kapłan.

— Ty nas nauczysz—odrzekli. Zobowiązali się co tydzień przysyłać pewną ilość robotników, jakich *padre* zażąda; dozwo-

lili nawet, ażeby jeden pozostał człowiek, którego kapłan sprowadził z sobą dla fabrykacyi cegły i dachówek.

„Mam przed oczyma (pisze Domejko) tego pobożnego ojca, urodzonego nad brzegami Tybru, ubranego w sukienkę reformowanego zakonu św. Franciszka, niskiego wzrostem i słabowitego, jak się obracał pomiędzy swojemi robotnikami ciężkimi i olbrzymiej postaci, nauczając ich, gniewając się, walcząc do upadłego z wstrzymywaną niecierpliwością. Postawił na swoim, i za powrotem moim z podróży do Valdivii, znalazłem i kościół i klasztor wybudowany, oraz początki wznoszącej się szkoły, i słuchałem mszy świętej, świeżo przybyłego na tę misję ojca Cherubina Bracamoros, kapłana godnego ze wszechmiar uszanowania i wdzięczności”.

Gościnność zachowała się w pierwotnej prostocie. Jakikolwiek gość przybywa do mieszkania Araukanina, nie wyjmując ani krewnych ani sąsiadów, nie odważy się nigdy wejść prosto do domu, lecz zatrzymuje się wraz ze swym koniem, przed poprzeczną belką, opartą na dwóch lub trzech słupach, która służy za granicę dziedzicowi, i której nikt przekroczyć nie może, bez wiedzy i pozwolenia gospodarza.

Skoro tylko pan domu dowie się zkąd przybywa podróżny i co go sprowadza, wychodzą krzątające się kobiety dla zamienienia dziedzińca i przygotowania wszystkiego co jest potrzebnem do przyjęcia gości. W sieniach albo w szałasie zrobionym koło drzwi domu, stawiają ławki nakryte futrami dla osób wyższego znaczenia, a dla równych sobie lub domowych, rozściełają baranią skórę na ziemi. I skoro to wszystko ukończonem zostanie, gospodarz zbliża się do swych gości, podaje każdemu rękę wzywając aby zsiadli z koni, i nie mówiąc ani słowa, wskazuje im siedzenia i sam siada przed nimi z niesłychaną powagą i jakby zamyśloną. Zaczyna się potem długa i poważna rozmowa, pełna komplementów i ceremonii, która trwa zawsze najmniej pół godziny.

Gospodarz zaczyna od ogólników, głosem cichym, gardłowym, stłumionym i nieco smutnym, odmawiając słowo po słowie, jak się odmawiają psalmy w kościele, z tą tylko różnicą, że na końcu każdej frazy, ton się podnosi o oktawę albo wyżej i ostatnia sylaba przedłuża się na sposób śpiewu. Podobnym głosem gość mu odpowiada, sam lub przez tłumacza. Gospodarz domu, nie tylko się pyta o zdrowie gościa i jego całej rodziny bliskiej i dalszej, ale także o pomyślność narodów, które

przebywał, ich trzód, zasiewów i t. p. Gość nawzajem wypytuje o zdrowie wszystkich w domu i za domem, krewnych i powinowatych gospodarza domu. Wszyscy obecni zachowują głębokie milczenie z uszanowaniem, jak gdyby się odbywał najwyższy obrzęd religijny. Młodzież biegnie po wyszukanie jagnięcia lub barana, którego zabijają i przyprawiają zaraz, w głębi zaś domu skrzętne kobiety rozpalają ogień, obierają kartofle, siekają jarzyny, nastawiają garnki, i nim minie godzina, warzy się i piecze przy ogromnym płomieniu smaczne i obfite jedzenie.

Gospodarz zmienia ton uroczysty mowy, rozpogadza oblicze, wstaje, zbliża się do gościa, i jeżeli uznaje go za godnego zaszczytu, ściska go po trzy razy, kładąc swą głowę, raz na prawe, drugi raz na lewe jego ramię i zaprasza na ucztę.

Obok tak wielkiej gościnności, smutno patrzeć na poniżenie wielkie kobiet araukańskich. Domejko maluje nam smutny a rzewny obraz tego poniżenia.

„Wśród nocy burzliwej (pisze) szukając przytułku przed deszczem i zawieją, znalazłem się w chacie kacyka, zbudowanej nad samym brzegiem morza. Indyanin był grzeczny i przyjął mnie z otwartą i szczerą gościnnością. Uwalniając od zwyczajnej etykiety i ceremonialnej rozmowy, co prędzej przy dobrym usadowił mnie ogniu. Odrazu znalazłem się w środku chaty z towarzyszem podróży, dwoma kacykami, którzy mnie odprowadzali, kapitanem indyjskim i trzema innymi ludźmi. Posadzeni w około ogniska i zanurzeni w grubym obłoku dymu, zapomnieliśmy prędko o niepogodzie, nie zważając i na szum gwałtowny południowego wiatru pod snopami słomy gościnnego dachu. Ożywiła się rozmowa, kiedyśmy paląc cygaro, suszyli przemokłe nasze *ponchos* (płaszczki). Piękna kobieta z dużemi, czarnemi żarzącemi się oczyma, z włosami, których sploty stóp jej sięgały, zadawała sobie wiele pracy, ażeby przygotować nam wieczerzę. Sama zaczęła znosić drzewo, skorośmy tylko weszli, rozpałać ogień i żywa dusza nie poruszyła się, aby jej jakkolwiek pomoc przynieść w tej pracy. Nikt na nią nie zważał, a ona bez spojrzenia nawet na gości, krajała mięso, obierała kartofle, przyniosła wody, nastawiła garnki, rozdmuchiwała ogień, chodziła, kręciła się bez najmniejszego znaku niechęci lub niecierpliwości, brzęcząc tylko ustawnie swojemi paciorkami i dzwoneczkami.

Siedząc obok mego poważnego i zamyślnego gospodarza domu, zapytałem, wiele ma żon? odpowiedział mi, że jedną tylko.

Zdziwiony, myślałem, że jest chrześcianinem; lecz Indyanin odrazu zrozumiał moją wątpliwość i zapewnił, że nie, i dodał, że jeżeli na jednej poprzestaje małżonce, pochodzi to ztąd, że kobiety są bardzo drogie między niemi.

— Widzisz pan, — rzekł do mnie drugi Indyanin, który mi służył za tłumacza, — co za niesprawiedliwość? nie tylko, że żeniąc się, musimy zapłacić ojcu za dziewczynę ośm, dziesięć i dwadzieścia *datków* (1), ale jeszcze ośm lub dziesięć musimy zapłacić ojcu, braciom i krewnym żony, jeżeli ta umrze: nie pozwalają jej pochować i musi zgnieć w chacie, tak, że biedny mąż sam nie wie co począć.

Na to kacyk poruszając głównię kawałkiem żelaza, dodał:

— A jeżeli się zdarzy, że człowiek zabije kobietę, to się nie okupi ani za dwunastym, ani za czternastym *datkiem*, tak, że człowiek zostaje zrujnowany na całe życie.

— Ileż to razy, — odezwał się drugi Indyanin, — dzieje się to samo, chociaż i mężowi dowieść nie można, że ją zabił. O! często baba umrze z pierwszego lepszego uderzenia, albo z jakiej rany zadanej nie chcąc.

— Tak, tak, — dodał kacyk, — często i dowieść nie można, a przecież złość ludzka turbuje męża.

Tymczasem biedna niewiasta służyła nam wszystkim i skoro się skończyła wieczerza, pierwszy kacyk rozciągnął się na swoim łożu na ziemi; kładli się i goście i domowi, każdy szukając sobie jak mógł najlepszego miejsca. Gasnął pomału wielki rozłożony ogień i jego ruchome płomienie, rzucając niepewne światło, ukazywały te niezwykłe twarze, i te atletyczne ciała Indyan rozciągniętych na ziemi. Araukanka tylko z rozplecionym włosiem, z pięknymi swemi oczyma wlepionymi w ziemię, stała sama jedna, opierając prawą rękę o łożo swego despoty. Wstyd i wrodzona skromność trzymały ją obudzoną, i wzbraniały jej zabrać zwyczajne sobie miejsce, aż zupełnie wygasło ognisko i w głębokim śnie nie zostali pogrążeni podróżni.

To upodlenie kobiety, przeważnie wpływa na stosunki rodzinne: poważne i święte imię matki nie ma tu znaczenia i powagi, jak i godność małżonki znieważona. Brak światła chrześcijańskiego zagraża zupełnym rozstrojem silnej niegdyś organizacji Araukanów. Badając uważnie stan ich dzisiejszy Domejko,

(1) Jeden *datek* składa się z krowy, konia, płaszcza, pary ostróg i wędzidła.

przepowiada niedaleki ich upadek, bo rok za rokiem tracą dawne ojców swoich zasady, a nie w postępie i rozwoju ku lepszemu nie zyskują. Już naczelnicy pokoju nie radzą wspólnie nad dobrem kraju, dawna władza kacyków upada; wplątani w zręczną politykę hiszpańską, nazwyczailli się do przyjmowania grzeczności i podarunków: „straszniejsza broń (jak dobrze wyraża Domejko) przeciw ich piersi, niżeli z sławnego hartu żelazo kastyljskiej szabli”. Jedni z nich pobierają żołd nikczemny od swych dawnych nieprzyjaciół, drudzy cieszą się otrzymanymi kaftanami lub laskami, jako oznakami ich osłabionej godności i powagi, inni znów krzykliwie domagają się tychże samych oznak, które im odmawiane są jedynie dla tego, że są ludźmi, których się nikt nie lęka.

Co jest najsmutniejszym objawem pomiędzy Araukanami, że zatracili narodowe tradycje. Jak zagasły na ich wzgórzach hasła wojenne ze stosów ognistych, zwołujące do boju pokolenia bitnych, tak zagasły imiona bohaterów takich, jak waleczny Lautaro i nieustraszony Kaupolikan; przeżyli oni tylko w pamięci poetów hiszpańskich: Zginęły między nimi wspomnienia miejsc, nawet słynnych krwawymi bojami i zwycięztwami. Mimo to Araukanie nie zmienili głównych w sobie rysów charakterystycznych, chociaż pod wpływem czasu, okoliczności i egoizmu, zniżają się ich naczelnicy. Wpółśród obecnego ich upadku rozbudza się wyniosła araukańska waleczność, w chwili walki ukazuje się dzikość i nieugiętość. Ten sam Indyanin w pokoju gościnny, uprzejmy i kochający domowe ognisko, zmienia się nagle na hasło wojenne. Z obnażonem ciałem, z pomalowaną twarzą, z włosom wzniesionym do góry, z przeraźliwym krzykiem rzuca się rozpaczliwie na szeregi nieprzyjacielskie, lub szuka sposobów napaści znieczacka w chwili spoczynku lub snu głębokiego. Z niezłomnem mężstwem łączy chytryść i okrucieństwo, nie przebacza jeńcom, jeżeli oszczędza płęć słabszą, to przez podłe wyrachowanie i w celu zaspokojenia najnikczemniejszych popędów.

Osobną część III poświęca Domejko, podając środki, zbadawszy pilnie stan dzisiejszy i ziemi i ludu araukańskiego. Szlachetne myśli, wzniosły duch chrześcijański w nich przewiewa. Zwraca uwagę rządu chilijskiego i radzi, aby się nie starał o podbicie tego dzielnego ludu, ale starał się o rozkrzewienie zasad moralnych i religijnych, o ukształcenie starodawnego charakteru araukańskiego, o oswojenie sobie tego Indyanina, a nie zamienienia w niewolnika. „Rzeczpospolita ma najwyższą władzę (mówi Domejko), ma

siłę i środki, aby utrzymać w karbie tego syna, bez udawania się do surowości macochy" i wskazuje jako jedyną i główną w tém pomoc chilijskiego kapłana.

Nie będziemy powtarzali szczegółów życiorysu naszego autora, które na końcu téj zajmującej książki podaje Michał Baliński; znany on jest tegoż pióra z Encyklopedyi Powszechnej. Dodamy tu, że Domejko piszący dziś po hiszpańsku, w ojczystym języku dał się poznać dawniej z listów, które pisał do swéj rodziny i do przyjaciela swego Adama Mickiewicza. Opuściwszy Paryż w r. 1837, malował w nich swe wrażenie podróży, przebyte lądy i morza: wreszcie rzeczpospolitę chilijską, gdzie osiadł stałe, znalazł spokojne ognisko; tu pojąwszy małżonkę, w kółku rodzinném, w tęsknocie za ojczystém gniazdem, objął katedrę chemii w uniwersytecie w Saint-Yago, żywém słowem i pismami rozszerza naukę tyle użyteczną. Pismo nasze (Biblioteka Warszawska. T. II z r. 1851) ogłosiło list jeden Domejki pisany w r. 1842 z Chili; Dodatek *Czasu* wydrukował zbiór cały jego listów, od chwili gdy wstąpił na pokład okrętu, które pisał do Mickiewicza, z którym go wiązały ogniwa ścisłej przyjaźni. Wydane razem stanowiłyby całość równie zajmującą, jak nauczającą.

R.

Mappa Królestwa Polskiego, pod względem jeograficznym, administracyjnym, duchownym, naukowym, sądowym i przemysłowym, ułożona na zasadzie źródeł urzędowych przez M. Nipanicza, urzędnika oddziału statystycznego Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych. Warszawa. 1863.

Praca ta naukowa i sumienna składa się ze czterech arkuszy. Wskazuje granice pod względem administracyjnym, dekanatów i okręgów sądowych. Oznaczone istniejące koleje żelazne i zamierzone drogi bite (szosse) oraz gościńce pocztowe i pomniejsze z oznaczeniem ich odległości od kolei żelaznych i stacyj pocztowych; rzeki spławne i niespławne; miasta wsie i osady. Rozpatrując uważnie pracę p. Nipanicza, widzimy, że niedokładności jakie się dają w niej postrzegać, wynikają z tego głównie źródła, że chciał być nawet w drobiazgach szczegółowym, a zaszczupłe obmyślił ramy swéj mappie. Dla oka, żeby zbyt tła nie zciemnić, opuścił góry, lasy i błota, pomimo to nie wszystkie wsie i osady oznaczone widzimy; pragnąc odpowiedzieć tytułowi da-

nemu, oznacza troskliwie kościoły katedralne, kolegiaty, rezydencje władzy dyecezalnej, parafie, kaplice nawet prywatne, zakony męskie i żeńskie; również jak pod względem naukowym szkoły wszystkie i zakłady naukowe; sądy cywilne i kryminalne, więzienia, komory celne, fabryki i kopalnie. Mniemamy, że tyle szczegółów pomieścić na mappie w takich rozmiarach jak wydana, niepodobieństwem, ale autor mógł łatwo temu zaradzić, gdyby do niej dołączył chociaż arkusz tekstu. Wszystko więc, co zbyt ją może przeciążać w rysunku, odniósłby do tekstu, a za to co właściwie do mappy należy, pomieścił. Tym sposobem (naszym zdaniem) znalazłaby miejsce na oznaczenie gór, lasów i błot, a zarazem wszystkie wsie i osady, których nie małej liczby brakuje, pomieszczonemi byćby mogły. Patrzący na mapkę, nie potrzebowaliby ze znaczków badać, gdzie jest kościół katedralny, gdzie sądy, jakie fabryki lub zakłady naukowe, bo w dodanym tekście łatwo by znalazł. Dobrze przyjęcie tej mappy, pomimo stagnacji handlu księgarskiego, może służyć autorowi za wskazówkę, jak była pożądaną i zachęcić do dalszej pracy, ulepszeń i dokładności w następnych wydaniach

W.

